

INSTYTUT EKOTERAPII RELACYJNEJ



AGNIESZKA BORUTA

DZIENNIK Z OBSERWACJI PRZYRODY

MIEJSCE:

MOJE MIEJSCE MOCY W LESIE NAD RZEKĄ GRABIA,
OK. 25 KM NA POŁUDNIOWY ZACHÓD OD ŁODZI,
GDZIEŚ MIĘDZY WIOSKAMI
ROKITNICA – BARYCZ – KOLONIA LDZAŃ – LDZAŃ



moje miejsce jest na uboczu

*trzeba długo jechać rowerem
mijać wioski o dziwnych nazwach
inne pola, inne łąki, inne lasy*

*drogi wiją się zgrabnymi zakolami
jest na nich piasek, jest trawa, są kamienie
wydeptane igliwie i umykające na bok szyszki*

*jest taki zakręt
już w krainie postawnych sosen i ich żywic
szczupłych brzoź i bajek wrytych wiatrem na ich korze*

*za tym zakrętem
już czuć wszystko, za czym tęsknię*

*pędzę
z niedoczekania*

*moje miejsce jest na uboczu
w cichym lesie
nad słodką zimną rzeką
blisko drzew, saren, wysokich traw i modraszek*

*z dala od ludzi, którzy ciągle coś mówią
i nie patrzą już w siebie
pozapominali skąd są
i co jest ważne*

*w moim miejscu
jestem na uboczu
kłaniam się rzece
drzewom
ziemi i niebu
zamieniamy się sobą
i przez chwilę staję się trochę nimi*

*w moim miejscu
jestem najbliżej wszelkich prawd
a zwłaszcza tej o sobie*

las nad rzeką Grabią
22.09.2024

LIPIEC 2024

Tego lata obfitość natury przerosła samą siebie. Wąska ścieżka wijąca się wzdłuż rzeki na pewnym odcinku całkowicie zarosła – tylko najwięksi miłośnicy przygód odważyliby się przedrzeć przez wysokie do pasa pokrzywy i oplatające łydki jeżyny. Ja zrobiłam to dwa razy i to na dodatek boso. W ogóle nie przeszkadzają mi ślady, jakie intensywne tête-à-tête z naturą za każdym razem zostawia mi na ciele. Zadrapania, siniaki, bąble – kto by się tym przejmował. Jak wchodzić w coś, to na całego, inaczej niczego się tak naprawdę nie pozna.

Dotarłam w moje miejsce mocy. Nie ma słów, które są w stanie oddać to jak się czuję będąc tutaj. Jestem u siebie, w domu. Tym razem wszystko tu kwitnie i emanuje przepychem. To czas dostatku i zbierania przepysznych plonów. Dobrobytu, dobrostanu, wszelkiej zasobności. Przyroda osiąga swoje apogeum, punkt kulminacyjny. Słoneczna kula otula świat intensywnym, przenikliwym ciepłem. Odurzająca mieszanka kolorów i zapachów sprawia, że biegnę w stronę rzeki zrzucając po drodze ubranie i zanurzam się w niej pokrzykując, bo różnica temperatur między rozżarzonym powietrzem a zimną wodą jest oszałamiająca. Jednak po chwili jestem już w raju. Spod stóp umykają mi maleńkie rybki, w szuwarach baraszkują żaby, a w różowych pękatych kieliszkach kwiatów, których całe szpalery oddzielają rzekę od ściany lasu z gracją przemieszczają się motyle. I..... są !!! Całe zastępy świtezianek błyszczących – prześlicznych ważek, które są symbolem tego miejsca. Ich smukłe skrzydła połyskują w słońcu niezwykłą barwą głębokiego turkusu wymieszanego z kobaltem, lazurem, szafirem i ultramaryną. Jest ich tutaj pełno, prawie wlatują mi do ucha, jedna usiadła mi na przedramieniu. Nurzam się w rzece z czcią, radością, bez troską, szacunkiem, zachwytem, wzruszeniem – wszystkim naraz.

Potem odpoczywam pod drzewami.

Jest tak cicho... Błękit nieba bez żadnych zagnieć i fałdek, równy, gładki, wypolerowany, czyściutki. Obłoki pękate jak wata cukrowa, idealną bielą wyczesane baranki, wiszą w bezruchu na tym lśniąco w słońcu, nieskazitelnym lazurze. Nic się nie unosi i nic nie opada, tak jakby świat zapomniał oddychać, nawet najmniejsze listki brzozy i najlżejsze igiełki sosen zastygły jak w fotograficznym kadrze. Woda też płynie wolniej niż zwykle, leniwie, niespiesznie, jakby chciała westchnąć i się na chwilę zatrzymać, nasycona światłem i ciepłem południa potrzebuje drzemki. Słyszę każdą moją myśl i każdą tajemnicę tego miejsca. Wymieniamy się sobą, oddychamy naprzemiennie, nasze opowieści mieszają się, dojrzewają i puszczają soki. Słodki, kaloryczny, odżywczy miąższ życia. W środku, gdzieś w najgłębszej głębi, wyrasta mi małe drzewo. Jeszcze nie wiem, że ono będzie we mnie już zawsze. Nie zniknie, nie uschnie, nikt nie będzie w stanie go ze mnie wyciąć.

Przyleciała sikoreczka. Swym kruchym ciałkiem wprawiła w drżenie liście brzozy. Coś do mnie mówi. Posłucham. I wtedy przychodzi modlitwa:

Rzeko, która od zawsze jesteś we mnie, a ja od zawsze jestem w Tobie. Kłaniam Ci się, pełna miłości i uwielbienia dla Twojej modrej mądrej toni. Tyś duszą i ciałem, tyś okiem i sercem, boginią i przyjaciółką, sednem i sensem. Niech twe wody pozostaną zawsze żywe i czyste. Meandruj przez leśne doliny, obmywaj swój dziki brzeg, unieś na południe wszystkie wyszeptane ci sekrety. Płyn i nie przemijaj. Po prostu bądź – tak jak jesteś.



SIERPIEŃ 2024

Gdy nadeszła kolejna fala upałów i w moim małym mieszkanku w betonowej dżungli nie można już było oddychać, poczułam, że moje Miejsce Mocy przyzywa mnie coraz głośniejszym – tym razem po to, abym spędziła w nim noc. Długo nie myśląc, spakowałam co trzeba i poddałam się temu zawołaniu. Nie mogłam się doczekać, dłużyła mi się droga.

Kiedy tam przybyłam, była osiemnasta. Słońce chowało się już za lasem, nad rzeką panował kojący spokój. Kwiaty, trzcina i wysokie trawy rosnące wzdłuż brzegu wody – wciąż jeszcze strojne i pyszne – w porównaniu z ubiegłym miesiącem straciły jednak ciut animuszu i dzikości, już się tak nie rozpychały, już tak nie odurzały i nie uwodziły, nie było ich tak pełno. Przyroda zaczęła się uspokajać i pokornieć, jakby osiadła w ukontentowaniu i sytości, spełniona, dokonana, całkowita. Zanurzyłam stopy w rzece, była bardzo zimna, ale moje przegrzane ciało potrzebowało tego dysonansu temperatur. Nie widziałam świtezianek, przeleciała za to zupełnie inna ważka: dwa razy większa, o skrzydłach w kolorze bardzo jasnej zieleni, prawie przezroczystych. Potem siedziałam na piasku i rozkoszowałam się tym spokojnym wieczorem, aż w końcu zaczął zapadać zmrok.

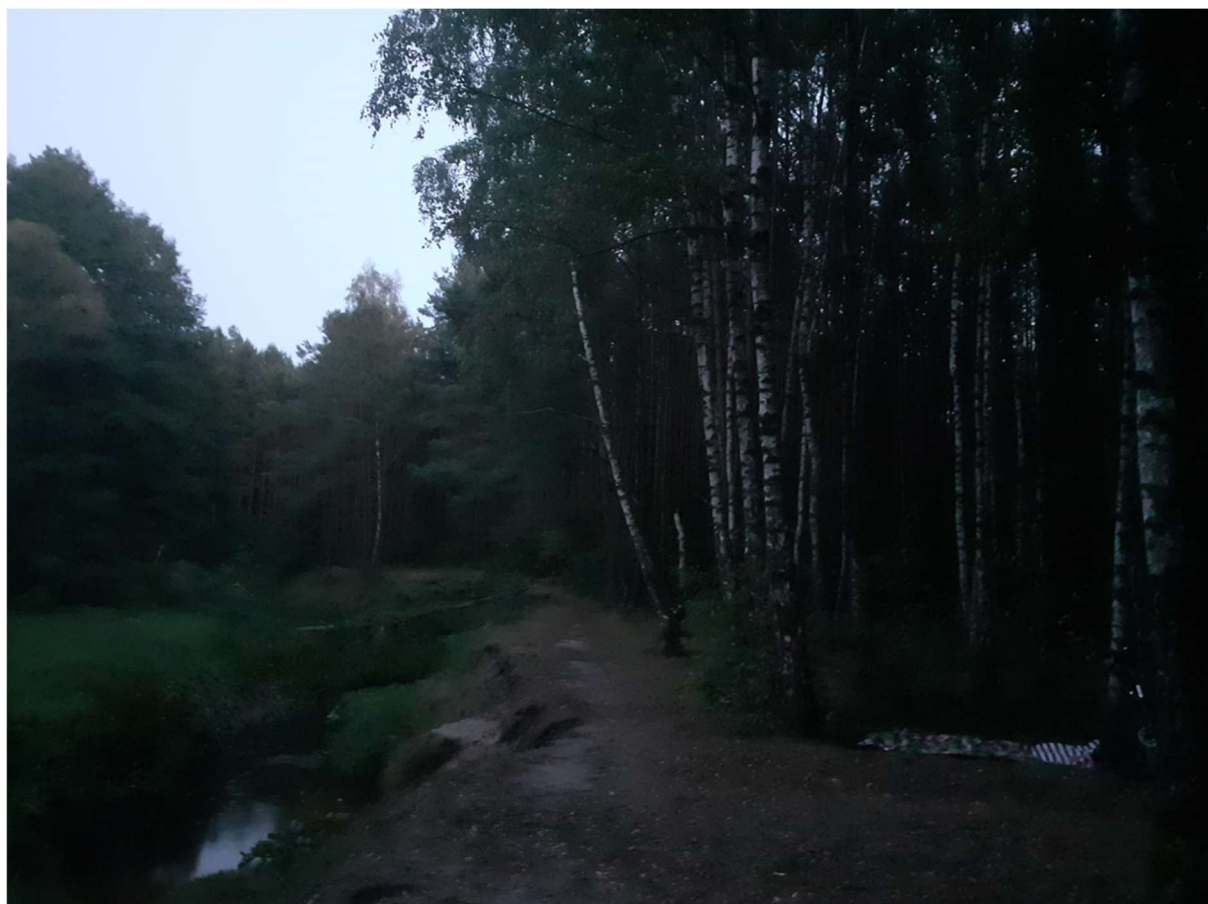
Położyłam się między dwiema brzożami. Nie czułam ani lęku, ani ekscytacji – żadnej nadmiarowości – ostatnie godziny wypełniły mnie niezwykle równowagą, była we mnie cisza, był bezkresny spokój tego miejsca, prawie bezruch i jeszcze... tkąta się we mnie jakaś czułość, jakaś tkliwość. Zanim zasnęłam, wsłuchiwałam się w przestrzeń wokół mnie, delektowałam się zapachami, jakie do mnie docierały, gładziłam dłońmi trawę i gładką korę brzozy za moją głową. Wszystko mi mówiło, że jestem częścią tego miejsca. Czułam się bezpiecznie, bardziej jak w domu niż na swoich czterdziestu betonowych metrach. Rzeka gadała do mnie delikatnymi pluskami, z drzew spadały na mnie maleńkie kawałeczki kory, z różnych stron dobiegały ostatnie ptasie zaśpiewy, zaczęły chmarami latać nade mną nietoperze – ucieszyłam się, bo w mieście dawno już ich nie widziałam. Ciemność zapadała powoli i łagodnie. Poczułam nagle wewnętrzne uniesienie: wzruszenie i wdzięczność, że mogę sobie tutaj tak leżeć, a przyroda przyjmuje mnie z akceptacją i miłością. I wtedy zobaczyłam gwiazdy. Pojawiały się jedna za drugą, był ich ogrom, świeciły jasnym światłem. Leżałam z otwartymi szeroko oczami i nie mogłam się na nie napatrzeć. Zawieszone na niebie tuż przy półkolistym abażurze lasu wyglądały jak obrazek ze starodawnej pocztówki albo jak ilustracja z bajek dla dzieci. Potem, gdy kilka razy budziłam się w nocy, zawsze je nad sobą widziałam, migoczące między brzożowymi listkami. Tak jakby puszczały do mnie oko. A brzozy stały nade mną leciutko się kiwając – czuwały nade mną jak kochające opiekunki.

Ciemność ani przez chwilę nie była całkiem ciemna. Co jakiś czas słychać było różne odgłosy: a to poruszenie w zaroślach, a to szczek sarny z oddali, a to szelesty w nadrzecznej trzcinie, a to spadającą szyszkę. Stukały też gałęzie, ale leciutko, tak jakby nie chcąc mnie obudzić, mówiły obniżonym głosem. O trzeciej w nocy na rzece wylądował duży ptak, być może czapla, którą tu kilka razy widziałam – nie śmiałam się ruszyć, żeby jej nie spłoszyć.

Powietrze było czyste i mocno orzeźwiające: miałam wrażenie, że oddychając robię porządki w swoich płucach i poleruję cały układ oddechowy. Czułam się otulona nocą jak puszystą kołderką, było mi bezpiecznie i przyjemnie, nie chciałam, żeby to się kończyło... lecz świt nadszedł tak jak robi to codziennie, gdy przychodzi na niego pora. Przyniósł ze sobą mgły nad łąkami i pierwsze ptasie ćwierki. Zafascynowało mnie światło wchodzącego słońca odbite na koronach sosen, było przepiękne. Z każdą mijającą minutą pięło się w górę, aż dotarło do sosnowych koron: ich dorodne i bogate igliwie zdawało się być wręcz puszyste. Z oddali, z którejś z okolicznych wsi, zapiał kogut. Przeleciały nad łąką bociany, zastukał dzięcioł, wyraźnym „dzień dobry” powitał mnie kruk.

Wstałam, gdy słońce skierowało swą świetlistą kulę prosto w moje oczy. Robiło się coraz cieplej, temperatura wzrastała w zawrotnym tempie. Niebo poprzecinane było płaskimi warstwami białych chmur ułożonych równo jedna nad drugą jak prześcieradła w bieliźnianej szafie u babci na wsi. Przeciągnęłam się, wzięłam kilka głębokich oddechów. Rzeka zamrugwała lśniąco i kusząco. Nie myśląc długo, zrzuciłam z siebie ubranie i całkiem naga zanurzyłam się w jej czarodziejskich dobroczynnych wodach. Przypomniało mi się, że w nocy widziałam dwie spadające gwiazdy i zdążyłam pomyśleć życzenie.

Poczułam, że kocham to miejsce coraz bardziej, choć myślałam, że już bardziej się nie da.



WRZESIEŃ 2024

Tuż przed tym jak ruszyłam nad rzekę, w centrum miasta na chodniku znalazłam martwego drozda. Był piękny, z nakrapianym brzuszkiem, nie mogłam go tak zostawić. Wzięłam go w dłoń, jeszcze był ciepły. Sprawdziłam, czy żyje – nie żył. W moim ściśniętym sercu rozlała się niewysłowna tkliwość. Nie chciałam, żeby tak leżał na betonie, to nie mogło być jego ostatnie miejsce, zasługiwał na więcej. Wzięłam ptaszka ze sobą.

Nad rzeką było ciepło, choć prawdziwie letnie temperatury nie wiadomo kiedy odeszły w zapomnienie. Słońce świeciło, lecz już nie tak intensywnie. Zieleń liści nie była już tak soczysta i widać było, że już za chwilę zaczną nad nią dominować wszelkie odcienie żółci i brązu. Przy każdym powiewie wiatru liście spadały z brzoź całymi naręczami, wirując i tańcząc w powietrzu. Las pulsował intensywnym zapachem żywicy, choć igliwie sosen wydało mi się mniej puszyste niż ostatnio. Szuwary zwiędły, zmalały, utonęły pod swoim własnym ciężarem. Tam, gdzie docierało do nich więcej światła słonecznego jeszcze starały się trzymać pion, lecz nie były już tak wyprężone i strzeliste. Trawy zrobiły się żółtawe, a kwiaty uschły. Wszystkiego było jakby mniej i po raz pierwszy poczułam w powietrzu zapach jesieni.

Jednak lato nie odeszło tak całkiem. Łąka po drugiej stronie rzeki wciąż była bujna i wyglądała jak tajemniczy ogród. Dojrzałam kilka motyli i zielonoskrzydłe ważki, które były tu ostatnio. W wodzie wciąż pływały małe rybki, a po jej powierzchni chodziły długonogie owady, łącząc się w pary. Jednak to, co najbardziej przykuło moją uwagę, to ilość ptasich świergotów, zaśpiewów, treli, ćwierków, gwizdów, zawołań i skrzeków. Nigdy wcześniej nie słyszałam ich tutaj aż tyle.

Szykując się do ceremonii, zanurzyłam stopy w rzece. Jej zimna słodka woda obmyła je ze smutku, brudu i zmęczenia.

Martwe ciało pięknego drozda ułożyłam na szerokiej korze brzozowej, którą znalazłam w lesie, ale zanim to robiłam, wyścieliłam korę pierzynką z mchu i liści, żeby mu było mięciutko. Kora oderwała się całym płatem z powalonej brzozy, było więc jej wystarczająco dużo, żeby ptaszka zakryć również od góry. Pod omszałym pniem przykucniętym w cieniu olch wykopałam rękoma mały dół i złożyłam w nim tę trumienkę. Z powrotem zasypałam to miejsce ziemią i przystroiłam je różnokolorowymi liśćmi oraz kwiatkiem znad rzeki. Życzyłam drozdowi, żeby śnił piękne sny w krainie wiecznego spokoju.

Gdy wyszłam z lasu z powrotem nad rzekę, ptaki rozśpiewały się jeszcze bardziej. Z każdej strony słychać było ich słodkie piosenki. Pomyślałam, że to koncert pożegnalny dla drozda śpiewaka. I wtedy na niebie pojawił się klucz gęsi. Najpierw je usłyszałam, dopiero potem zobaczyłam. Było coś uroczystego w tej chwili. Coś głęboko poruszającego.

Przytuliłam się do brzozy, pod którą ostatnio spałam. Zamknęłam oczy, a twarz wystawiłam do słońca przebijającego się przez korony drzew. Ogarnął mnie bezkresny spokój.

Miałam wrażenie, że drozd jest mną, a ja jestem drozdem. Że rzeka jest mną, a ja jestem rzeką. Że ta brzoza, którą tulę jest mną, a ja jestem nią. Wszystko jest jednym. Wszystko się przenika. Życie i śmierć tworzą wieczny przepływ, a ten przepływ buduje tajemnicę nieskończoności.

Odchodząc, pokłoniłam się rzece.

*w moim miejscu
jestem na uboczu
kłaniam się rzece
drzewom
ziemi i niebu
zamieniamy się sobą
i przez chwilę staję się trochę nimi*

*w moim miejscu
jestem najbliższej wszelkich prawd
a zwłaszcza tej o sobie*



Spodobało ci się uczynić mnie bezkresnym. Wciąż na nowo opróżniasz to kruche naczynie i napełniasz je świeżym życiem.

Niosłeś tę malutką piszczałkę z trzciny przez wiele wzgórz i dolin, wydmuchując z niej wiecznie nowe melodie.

Pod nieśmiertelnym dotknięciem twojej dłoni moje drobne serce wychodzi z siebie i na świat wydaje niewysłowione wyrazy.

Twe nieskończone dary dochodzą do mnie tylko za pośrednictwem mych własnych, jakże maleńkich dłoni. Wieki mijają, a ty ciągle nalewasz i ciągle jest miejsce, by je napełniać.

(Rabindranath Tagore, „Zbłąkane ptaki i inne poezje”)

